

dem wrócił!... Ty zezwolisz, prawda, nie będziesz się sprzeciwiała?! Ciociu!...

— Nie, dziecino moja, nie będę stawiała przeszkód twojemu szczęściu! — szepcze pani Krystyna, pociągając Anielkę do siebie — Poznałam go, on godny ciebie... Kochacie się, więc bądźcie szczęśliwi...

— O, ciociu, jakaś ty dobra! A ja myślałam... my...

— A tak!... Dziwnie trochę zachowałam się w parku, ale to była taka niespodzianka... Nie mogłam sobie zdać sprawy... A on może się obraził... Przeprós go w moim imieniu i poprosz, aby przyszedł do nas... Przywitam go jak syna...

Na ciemne włosy dziewczyny, tulącej się w ramionach ciotki, zaczynają padać łzy, łzy dobrej ciotki, łzy serdeczne.

Pani Krystyna sama nie wie, dlaczego płacze, czy z radości nad szczęściem Anielki, czy z żalu nad czemś, co się rozwiło i nie wróci.

Józia Maliniewiczówna biegnie zadyszana ulicą Hybernską. W ręku trzyma wielką wiązaną różnobarwnych goździków. Spieszy się tak, że po drodze roztrąca przechodniów, a drobne kropelki potu występują na jej zaróżowionej twarzy.

— Dokąd pani tak spieszy, panno Józiu? — porysowała za sobą głos.

Odwrociła się i zobaczyła Montwiła.

— O! Niech mnie pan nie zatrzymuje, albo niech pan biegnie razem ze mną! Pędzę na kolej, pani Wolska i Anielka wyjeżdżają... Jedzie z nimi narzeczony Anielki, ten, co to wie pan, zginął, a później się odnalazł... Anielka taka szczęśliwa... On dostał kilkumiesięczny urlop, a potem to pewnie będzie superarbitrowany, bo jedną nogę to już będzie miał sztywną! — trzepota Józia, nie zwracając uwagi na dziwny wyraz twarzy swego towarzysza.

— Chcę Anielce zanieść parę kwiatków, pożegnać się z nią i poprosić ją, aby napisała do mego tatuśka... Wiem, że Anielka bardzo podobała się tatuśkowi, więc może jej uda się skłonić go, aby nas nareszcie zabrał z tej Pragi... Bo jak nie, to piechotą ucieknę do Krakowa!

Zdziwiona trochę, że Montwiłł nic nie odpowiada, spojrzała na niego.

— O! jaki pan błady! Co się panu stało?! Czy pan chory?!

— Tak!... Głowa mnie boli trochę... Nie będę pani dłużej zatrzymywał! Dowidzenia, panno Józiu!

— Jakto, nie pójdzie pan ze mną na kolej?

Montwiłł zawahał się... Zatarła nim pokusa, aby raz jeszcze zobaczyć Anielkę, choćby obok tam-

tego... Ale przewyciężył się, zrozumiał, że mógłby odegrać rolę intruza...

— Niech pani będzie tak dobra i pożegna w moim imieniu panią Wolską i pannę A...nie!...

Ostatnie słowa Montwiłł wypowiedział z wyraźnym wysiłkiem.

Józia spoglądała przez chwilę za nim i kiwnęła kilka razy smutnie główką, jakby chcąc powiedzieć: rozumiem!

Na dworcu kolejowym „Statni nadraži“ wrzał niezwykle ruch.

Wszystkie poczekalnie, wszystkie przejścia zajęte były pasażerami.

Piętrzyły się stosy przeróżnych pakunków, kufków, pudeł, tobołów najrozmaitszego kształtu i wyglądu.

To wychodzący z Galicyi gromadnie wracali do swoich siedzib, z których wygnała ich wojna.

— Moja pani — opowiadała swojej sąsiadce mizerna, szczupła kobiecina w niemodnej czarnej sukni i kapeluszu, który nosił ślady kilkakrotnego prze-rabiania — co ja też tam w domu zastanę?... Gołą ziemię i tyle... Bo to my mamy malutki folwarczek... Mały, bo mały, ale nieźle był zagospodarowany... A teraz mąż mi pisze, że dom spalony, narzędzi niema, bydła niema, konie Moskale zabrali... Kiedy my się tego dorobimy znowu, kiedy!...

Końcem palca otarła łzę, która wytrysnęła jej z pod żółtłej powieki.

— Jakoś to będzie — pocieszała ją sąsiadka — będzie przecież jakaś pomoc, będą zapomogi, odszkodowania...

— E! Ktoby się tam na to oglądał... Czego człowiek własnymi rękami nie robi, tego mu nikt nie da... A tu jest żywić kogo, patrz pani, tyle tych robaków...

I wskazała na liczną gromadkę otaczających ją dzieci.

— A najstarszy w Legionach... Szesnaście lat ma dopiero, ale uparł się: „Pójdę mamusiu, pójdę, bo to za Polskę“... O mój Boże! Żeby to chociaż za tę krew...

Nie dokończyła swojej myśli, może zbrakło jej słów do wypowiedzenia czegoś, co głęboko czuła.

— A skąd to jedziecie? — zwróciła się po chwili owa właścicielka zniszczonego folwarku do siedzącej obok niej kobiety wiejskiej.

— Z baraków — brzmiała krótka odpowiedź.

— Sama jesteście?

— Oj! Nie sama ja jechałam, ale sama wracam... Troje dzieci zawiozłam...

— I gdzie wasze dzieci?...

— Zostały tam, pochowałam... — odparła dziwnie twardym głosem wieśniaczka. Rysy jej twarzy ani drgnęły, jakby stężała w bólu.

— Jezus, Marya! — jęknęła właścicielka folwarku, przerażonym wzrokiem ogarniając swoją działkę — takie nieszczęście...

Oczy jej znowu zasłzyły łzami, rozumiała to cierpienie matki i współczuła mu całym sercem...

Tuż obok pilnowała swoich pakunków rodzina wieśniacza w malowniczych strojach krakowskich. Był mąż, chłop o poważnej, inteligentnej twarzy, młoda żona, typ krakowskiej piękności wiejskiej, dwoje dzieci i stara, zgrzybiała już niemal kobieta.

Nagle staruszka podniosła do oczu fartuch i zaczęła głośno płakać.

— Mamusiu, a czegoż wy płaczecie? — zapytała młoda — Dyc już złe minęło, na swoje śmieci wracamy.

— A dyc z radości płacę, z radości! — wyszochała stara chłopka — O! Jezu mój! Dziękuję Ci, żeś mi tego dnia dożyć pozwolił... A dyc ja już myślałam, że swoje kości na tej cudzej ziemi zostawię...

Kiedy Józia przybiegła na dworzec, zaczęła szukać pani Wolskiej i Anielki. W poczekalni pierwszej klasy znalazła panią Krystynę, od której dowiedziała się, że Anielka z Walczakiem są zajęci ekspedycją bagażów. Z trudem przecisnęła się przez tłum i nareszcie zdołała odszukać Anielkę.

Obok panny Zurakowskiej stał stary Gilewski z rozpromienioną twarzą, wyprostowany, jakby odmłodzony.

— Dostałem pozwolenie! Jadę! Jadę! — wołał, wymachując w powietrzu tekturowym pudłem, dość luźno związanym sznurkami.

— Jedziemy! Jedziemy! — wtórował mu radośnie jakiś żyd w długim chałacie.

Pociąg mijał galicyjską granicę. Okolica monotonna, płaska, szara, fabryczna. A jednak na jej widok uderzyły mocniej serca.

— Wiecie — rzekła Anielka, zwracając się do ciotki i narzeczonego — kiedyś jeden ze znajomych naszych, który wiele lat mieszkał we Francji, opowiadał mi, że kiedy powracał do kraju, całował ziemię na granicy... Wydawało mi się to przesadzone, dzisiaj go rozumiem...

K O N I E C.



Strzałkiem bojowym Legionów: Pierwsza bateria artylerii na pozycji. Na prawo oficerowie z komendantem por. Boldem obliczają kierunek i elewację.

(Fot. T. Zwoliński)